

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PIŚMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA REPNUMERATY: w Wilnie	REDAKCJA i ADMINISTRACJA Ś. Jerska 15 m. 26	CENY OGŁOSZEŃ:
Rocznie 7.00	Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp.	Przed tekstem za wiersz petitu 50 k.
Półrocznie 3.50	Skrzynka pocztowa № 52	W tekście (nadesłane) 1 rb.
Kwartalnie 1.75		Po tekście 20 k.
Miesięcznie 60		
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu		Numer pojedynczy 15 kop.
Rocznie 8.—		
Półrocznie 4.00		
Kwartalnie 2.00		
Miesięcznie 70		

Czas odnowić prenumeratę na kwartał III i półrocze drugie b. r.

Wpływy postronne.

Byliśmy zawsze i jesteśmy niezmiennie gorącymi zwolennikami wspólnej i solidarnej akcji wszystkich żywiołów demokratycznych w naszym kraju. Trwały sojusz pomiędzy demokracją polską, litewską i białoruską, oparty na głębokim zrozumieniu wspólnych celów i interesów był zawsze i pozostał naszym ideałem.

Nie sprzeniewierzyliśmy się ani na moment zasadom podstawowym, zawartym w pierwszych artykułach programowych „Przeglądu Wileńskiego”. Jeżeli rzeczywistość zawiodła nasze oczekiwania — nie my zawiniliśmy. Szczere i otwarte nasze stanowisko w kwestjach narodowościowych nie trafiło do przekonania demokratycznych działaczy litewskich i białoruskich, którzy od samego początku zarzucali nam ukryty nacjonalizm.

Sądziliśmy na razie, że konsekwentna i stała praca publicystyczna w kierunku obranym przez nas rozwieje uprzedzenia i doprowadzi w końcu do gruntownego porozumienia.

Omyliliśmy się, niestety.

Po dwóch niemal latach istnienia „Przeglądu Wil.” doszliśmy do przeświadczenia, że niechęć mniej lub więcej wyraźna działających na gruncie wileńskim litwinów i białorusinów nie płynie bynajmniej z nieufności i niezrozumienia naszych dążeń, lecz że przyczyną jej tkwią głębiej, mianowicie w obawie wzrostu i wzmocnienia demokracji polskiej na Litwie i Białejrusi.

Da ist der Hund begraben!

Myśliśmy, że demokratyzacja społeczeństwa polskiego zostanie powitana radośnie przez pokrewne nam duchem obozy litewski i białoruski, jako etap pożądaný na drodze ku wspólnemu porozumieniu i wyzwoleniu. Rzeczywistość zaś przekonała nas, że jest wprost przeciwnie, że robota demokratyczna, jako wzmacniająca siły polskie, nie jest na rękę

litwinom i białorusinom, że woleliby oni raczej, by społeczeństwo polskie trwało w zacofaniu, na swych konserwatywnych placówkach, skazując siebie przez to na powolne wymarcie i zagładę.

Wszystkie nasze usiłowania do nawiązania bliższych stosunków z grupami demokratycznymi litewską i białoruską spęzły na niczem, napotykając stale na zupełną obojętność, jeżeli nie otwartą niechęć.

Dawano nam do zrozumienia, że nie jesteśmy istotnymi demokratami, bo prawdziwy demokratyzm wymaga jakoby wyrzeczenia się wszelkiej samodzielności ze strony polskiej i ułatwienia jedynie pracy działaczom litewskim i białoruskim.

Utrwaleniu tego dziwaczного poglądu w umysłach ludzi skądinąd rozsądnych i nie dotkniętych obłudą szowinistycznym sprzyjało w wysokim stopniu istnienie wśród społeczeństwa polskiego grupki ludzi, o doktrynerskim sposobie myślenia a bardzo słabo ugruntowanym poczuciu narodowym, głęboko przekonanych, że najgłówniejszym zadaniem Polaków na Litwie i Białejrusi jest praca nad uświadomieniem ludu litewskiego i białoruskiego, nie wierzących w rozwój sił polskich w kraju, wystrzegających się jak ognia wszelkiego posądzenia o nacjonalizm, chociażby zarzut taki był najzupełniej bezpodstawny.

Ci ludzie swym postępowaniem upoważniają demokrację litewską i białoruską do twierdzenia, że oni są wyłącznymi przedstawicielami demokracji polskiej, że wszyscy inaczej myślący są „endekami”, nacjonalistami, sojusznikami reakcji.

Na tem tle powstała specyficzna doktryna „krajowa”, stosująca dwie miary do ruchów litewskiego i białoruskiego z jednej strony i do polskiego z drugiej.

Co jest objawem demokratycznym dla jednej, to dla drugiej uważa się za tendencje zaborcze, co jest pożądanem dla ludu litewskiego i białoruskiego, to zasługującym na potępienie u polskiego.

Oczywiście z wyznawcami tej doktryny działa-

cze litewscy i białoruscy bardzo chętnie utrzymują bliskie stosunki, uważając ich słusznie za materiał miękki i podatny do asymilacji duchowej.

To właśnie mieliśmy na widoku zarzucając „Kurjerowi Krajowemu” „wpływy postronne”, czem się redakcja jego uczuła dotknięta i zażądała od nas dowodów.

Przebieg pertraktacji, poprzedzających powstanie „Kurjera Krajowego” i główny powód, o który układy się rozbiły—dostatecznie uzasadniają nasz zarzut. Dotychczas na czele tego pisma stoją ludzie, obracający się przeważnie w środowiskach litewskim i białoruskim, co, rzecz prosta, nie może pozostać bez wpływu na ich psychikę.

Powtarzamy, że bynajmniej nie potępiamy ścisłego kontaktu z demokratami litewskimi i białoruskimi. Dążyliśmy i dążymy doń sami. Uważamy jednak, że zbliżenie wówczas tylko będzie owocne, gdy będą brały w niem udział obie strony na równych prawach.

Patryjoci litewscy i białoruscy muszą uznać również prawo demokracji polskiej do samodzielnego rozwoju i własnej pracy narodowej. Rzecz charakterystyczna jednak, że unikają oni starannie wszelkiego współdziałania z polakami o wyraźnym obliczu narodowym, wyróżniając natomiast jednostki bezbarwne, chwiejne lub obojętne względem spraw narodowych polskich.

Trudno się temu dziwić. Z demokracją polską świadomą swych celów i dążeń, nie rezygnującą ze swych placówek, muszą się młode ruchy litewski i białoruski liczyć jako z siłą spółzgodną, demokracji polskiej przesiąkniętej ideologią „Kurjera Krajowego” nie potrzebują brać pod uwagę, wiedząc z góry, że pójdzie posłusznie. gdzieś tam w ogonie...

Wobec tego dziwnym jest pytanie, wystosowane pod naszym adresem przez „Kurjer Krajowy”: czym interesom służymy, na czyj młyn wodę lejemy?

Nigdy nie ukrywaliśmy, że służymy interesom demokracji polskiej, w której wzmocnieniu widzimy gwarancję normalnego rozwoju kraju. Gdy z nikłego strumyka polski ruch demokratyczny zamieni się w wartki potok, młyn krajowy będzie działał spraw-

niej i energiczniej, bo woda doń będzie dopływała trzema łożyskami. A nie uśmiecha się nam wcale perspektywa, by strumyk ten wsiąkał w grunt, zasilając jeno inne źródła...

Powyższe wyjaśnienie powinno wystarczyć chyba dla zrozumienia różnic, zachodzących między „Przełgłdem Wileńskim” a „Kurjerem Krajowym”. Myśmy wytrwali na stanowisku, zajętem od początku i o żadnym zwrocie z dotychczasowego kierunku mowy być nie może. Ten fakt, że „Kurjer Litewski” w ostatnich czasach parokrotnie wystąpił z pewnem uznaniem dla „Przełgłdu Wileńskiego” nie dowodzi bynajmniej zmiany naszych poglądów, świadczy tylko o zmianie taktyki organu konserwatystów polskich.

Przypomnijmy tu, co pisał p. J. Hł. w „Kurjerze Lit.” z powodu artykułu wstępnego p. t. „Być, czy nie być”, zamieszczonego w Nr. 1 „Przełgłdu Wileńskiego”.

„Cały artykuł p. L. Abramowicza jest właściwie wzywaniem postępowej inteligencji do pracy dla kultury polskiej, pracy, oczywiście, zabarwionej postępowo. Życzymy powodzenia w tym względzie, choćbyśmy nawet zmuszeni byli niekiedy potępić i zwalczać to zabarwienie, jako w oczach naszych szkoldliwe”.

Niekonsekwencja więc „Kurjera Lit.” polega na tem, że zapomniał o swych słowach, wyrzeczonych przed półtora rokiem i stwierdza dziś nasze intencje polskie, jako nowe zjawisko, wówczas gdy nigdy nie powinien był żywić co do tego wątpliwości.

Nie mamy żadnego wpływu na „Kurjer Litewski” i nie możemy wobec tego ponosić odpowiedzialności za to lub owo jego zachowanie się. Idziemy od początku swoją drogą, nie szukając aprobaty ani naszych nacjonalistów ani też obawiając się nagany doktrynerów *sui generis* „krajowości”. Zajmując w dziedzinie zagadnień narodowościowych stanowisko poniekąd pośrednie i umiarkowane mamy punkty styczności jak z jednymi, tak i z drugimi. Nie mamy więc czego się wstydzić, gdy jedna lub druga strona przyzna nam rację*). Pomawianie jednak na

*) Zdarzyło się nie tak dawno, że ten sam artykuł „Przełgłdu Wil.” („Sapientia sat” z № 10—11) przedrukowany został jednocześnie przez „Kurjer Krajowy” i „Kurjer Litewski”.

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

Rasa.

(Studjum folklorystyczne)

Miała prześliczne, szafirowe oczy,
w których się paliły czasem złote centki;
miała uśmiech przedziwnie miękki i uroczy,
biust stromy, dumny, pieściwy i giętki;
miała przepych złościście omdlałych warkoczy,
krok swawolnie taneczny, stanowczy i prędkie.
Była bardzo przyjemna!

— Tak?

— Ogromnie miła:
płynęła, gdy tańczyła; biegła, gdy chodziła.
Nosila pajęczyny jedwabne i szkliste
śliskie —
niskie —

pantofelki o wyrafinowanym rysunku;
nogi miała w pomyśle tak bajecznie czyste,
że hrabia Żorz, wczytany w jej kolanek Wedy
znajdował podobieństwo z słynną Irisch Lady...
Była bajeczna.

Baronowa Tillhausen—siedząc kiedyś w kjosku
(wiecie chyba, co znaczy Tillhausen-Suleja!?)
mówiła o niej malarzom po włosku
że „jest w tej małej Tycjan tuż obok Beardsley'a”.
(Baronowa Tillhausen, z domu Goldfederka,
ma smak i wie, co znaczy miłosna szermierka).
Panowie z klubu zresztą dodawali serjo,
że ma rasę; (choć dziwne, skąd jest w

[mieszczce rasa?])

mówili też, że kochać musi z meskinerją,
a nienawidzić — cudnie. Kto wie? Taka trasa
w panience z miasta...

— Chyba to faux-pas jej mamy?

— Mama? Possible... nie znamy.

tej podstawie nas o flirt z reakcją jest również logicznym, jak, dajmy na to, posadzanie „Kurjera Krajowego“ o tendencje rusyfikacyjne, ponieważ „Wieczerniaja Gazeta“ cytuje go nieraz z uznaniem.

My żadnym wpływom postronnym nie ulegliśmy—to pewna. Byliśmy i jesteśmy sobą.

▷○○○○○○○○◁

Rosjanie— a sprawa polsko-żydowska.

Liberalne „Russkoje Słowo“ wyraziło niedawno zdanie, iż zatarg polsko-żydowski w Królestwie jest sprawą wewnętrzną tego kraju i rosjanie mieszać się do niej nie powinni.

Pamiętając niefortunne i wprost nietaktowne napomnienia, z jakimi dotąd zwracali się humaniści rosyjscy do społeczeństwa polskiego—oświadczenie powyższe uczynić może w pierwszej chwili wrażenie sympatyczne. Wystarczy jednak zastanowić się nieco głębiej nad faktycznym stanem rzeczy, by uznać, iż deklaracja „Russ. Słowa“ wcale jeszcze za wystarczającą uważana być nie może.

Niewątpliwie, walka polsko-żydowska w Królestwie jest sprawą domową; jej szczegóły i metody nie znoszą interwencji obcej. Wskazówki bowiem, udzielane bez znajomości terenu oraz motywów starcia, a tembardziej traktowanie antysemityzmu postępców polskich wedle orientacji kiszyniowskiej—wywoływać musi tylko rozdrażnienie, zgoła nie przyczyniające się do załagodzenia waśni.

To jednak wcale nie znaczy, by wolno było w stosunku do sprawy tej przodownikom inteligencji rosyjskiej umyć ręce. Ani na chwilę nie powinni oni zapominać, że obecne zaangażowanie kwe-

Czegoż to dowodzi? Tylko tego, że są kwestje, co do których mogą mieć identyczne zapatrywania nawet pisma biegunowo sobie przeciwne.

stji żydowskiej w Królestwie jest bezpośrednią konsekwencją państwowej przynależności kraju, który rosyjska polityka wewnętrzna sztucznie „przeżydziła“.

Ogromnie łatwo inteligencji rosyjskiej zdobywać się na bezwzględny, zasadniczy filosemityzm, gdy żyd jest dla niej właściwie abstrakcją. Podobnie w krajach nieuprzemysłowionych, nie znających żywej walki proletariatu z kapitałem, widzimy często wśród bogaczy gorących zwolenników Marksa. Niech tam jednak zaczną powstawać fabryki, a wnet ci sami marksiści i zdecydowani liberałowie poczynają oglądać się za sposobami ujarznienia pracy. Śmiało też można przypuszczać, że gdyby w Rosji rdzennej żydzi nie stanowili jakiejś ułamkowej odsetki, ale kilkanaście do kilkudziesięciu proc. mieszkańców, absolutna, „pryncypialna“ tolerancja względem nich tamtejszej prasy liberalnej uległaby w wielu punktach poważnym zastrzeżeniom.

Przewidywać to wolno już choćby z tego powodu, że nawet dziś przy skrupulatnem oczyszczaniu rdzennej Rosji z żydostwa, przy minimalnej jego liczbie, wreszcie przy stosunkowo wysokiej kulturze tych sfer izraelskich, którym mieszkają wolno—filosemityzm jest wśród mas niepopularny. Dowodem fakt, że nawet w gubernjach, doszczętnie „odżydzonych“, bardzo skutecznie wokuje demagogja terminem *żid*, technącym bezgraniczną nienawiścią i pogardą. Świadczy dalej i to, że pogromy możliwe były nawet poza „strefą osiadłości“, że wreszcie do Siedlec i Białegostoku trzeba było sprowadzać antysemitów czynnych aż z głębokiego wschodu.

Nie znam duszy ludu rosyjskiego, ale wiem jedno: mianowicie, że niemal wszystkie, wciąż pojawiające się projekty reakcji, co do dalszego ograniczania praw żydów, w żadnym innym kraju nie mogłyby być traktowane serjo. Weźmy choćby jeden z ostatnich pomysłów—zabronienia żydom ogłaszania swych przedsięwzięć w gazetach. Albo te długie dyskusje nad kwestją, czy wolno im nosić imiona chrześcijańskie... I t. d. i t. p.—bez końca, w tym samym rodzaju.

Gdyby z podobnemi idejami wystąpił ktoś

Te... z naszej inteligencji... mieszczańczki

[nawet

po zawodach zimowych próbują wet za wet, tego dawniej nie było—to się wszędzie pcha—lubię naszych polaków...

— Spotykałem je wszędzie: Beaulieu, Trouville, Spaa...

— Ha, ha, ha!

— Étap pierwszy: Kraków.

— Jedna z drugą doktora żona, albo kupca na zagraniczne łatwo polecą karesy.

— Cóż chcesz? Znajdzie głupca...

— I sama w to wierzy.

— Zaś największe sukcesy

(nadmierzajnel!) węgierscy mają... berejterzy.

Była bardzo, ale tak bardzo ładna, że aż dziwne,

skąd się takie jeszcze u nas biorą.

W Warszawie —

prawie

wyjść nie można na miasto.

— Ech, nie. Ładnych sporo...

— Hélas! Poginęły te różne Felki, Mańki

i Łucje

od czasu, gdyśmy mieli sacré—Rewolucję.

— No no! Jeszcze Polska nie zginęła przecie.

— Gdzie bywa?

— Możesz spotkać ją na Nowym Świecie.

— Chodzi?

— Jacyście—moi mili—młodzil

elle s'arrête—donc, elle marche.

— Czy prawda, że ją miał Karsz?

— Ha—trudno coś napewno wiedzieć,

ale można chyba powiedzieć, że miał.

— Dużo dał?

— Phy... była dość niedroga.

— Nieboga...

Porównajcie dziewczyny węgierskie,

francuski, kreolki —

już choćby w Galicji, wziętoby go poprostu—za warjata. W Rosji tymczasem nawet liberałowie, wprawdzie zwalczają takie pomysły (najczęściej zresztą bezskutecznie), ale nie ogarnia ich zdumienie i są w stanie nad podobnemi kwestjami dyktować poważnie.

Obserwując z ubocza stosunek owych postępców do tego wszystkiego, co się w Rosji z żydami wyprawia, ogarnia nas wątpliwość, czy zdają sobie oni należycie sprawę z całej potworności praktykowanych szykan.

Rosyjska prasa liberalna nazbyt już przywykła do oddzielania narodu od rządu. Pozwala jej to idealizować pierwszy, zwalać wszystkie grzechy wyłącznie na drugi i na skrzydłach abstrakcyjnych „pryncypjów“ bujać pod obłokami, czyniąc porządek na całym świecie, tylko nie u siebie w domu. Podobnie, jak graf Bobrinskij, umie być obrońcą ludów uciskanych... na Bałkanach, również i postępową inteligencja petersburska widzi antysemityzm polski, a nie widzi rosyjskiego.

Wprawdzie Duma i Rada Państwa nie reprezentują dokładnie społeczeństwa, ale zupełnie ignorować jego opinji nie mogą. Toć nawet absolutyzm zna pewne granice samowoli i winien się rachować z zasadniczym światogłodem mas. W zapartywaniach tłumu rosyjskiego musi też istnieć coś, dającego podstawę dla takiego np. prawa, jak „czerta osiedłości“. Podstawą tą jest zapewne nieznanomość fundamentalnych zasad wolności obywatelskiej i zupełne nieodczuwanie potrzeb równości. Pozatem bardzo ważną rolę odgrywa niewątpliwie i to, że lud rosyjski, z inteligencją swą na czele, wciąż jeszcze nie poczuwa się do odpowiedzialności za czyny państwa rosyjskiego.

W każdym razie jednak antysemityzm ustawowy nie może być tak obcy duchowi narodu, jak to usiłują nam wmawiać organy liberalizmu rosyjskiego. Natomiast pozwolimy sobie twierdzić, że ich tak mało rozpowszechniony, choć bardzo daleko idący—w zasadach—filosemityzm wątle swe kwiatki hoduje niemal wyłącznie kosztem Polski, której interesów nikt nie bierze w rachubę przy zapędzaniu tam wszystkich żydów Rosji.

— Parbleu. Te nasze polki —
— Wstyd.
— Zut!

Miała naprawdę odpowiednie warunki, więc zrobiła karierę.
Dziś ma wille, automobil i najpiękniejszą w Warszawie riwjerę.
— Doprawdy, ci polscy bławatnicy, ci od kilimów, zakopiańszczyzny i łowickiej spódnicy...
— Ci od Mickiewicza i Monsalwatu!
— Hein? Dosyć już tej rozmowy.
Gramy? No więc, grajmy. Daj go katu.
— Whiste.
— Passe.
— Bez atu.
— — — — —
Miała prześliczne szafirowe oczy...



Nie uwzględnia się tego, że konieczność elementarna wygania coraz więcej polaków ze wsi do miast, iż muszą oni szukać zarobku w przemyśle i handlu (tembardziej, że posady rządowe otworem stoją tylko dla utemperowanych ex-liberałów rosyjskich), że postęp ekonomiczny stwarza ruch kooperatywny i że w rezultacie najazd tłumu drobnych pośredników, dla których poprostu miejsca tu brakuje, wywołać musi sam przez się odrurowy odpór.

Gdyby Królestwo mogło żyć i rozwijać się normalnie, liczba żydów zmniejszyłaby się w niem bez wszelkich walk, nawet bez niczyjej wiedzy. Proces ten odbywał się przez kilkanaście lat i nikt nań uwagi nie zwracał. Wszędzie (zwłaszcza w powiatach zachodnich), gdzie wzrastała gospodarcza kultura ludu, gdzie rolnicy zwolna tworzyli zrzeszenia, drobny pośrednik handlowy przekonywał się, że jest zbyteczny i częściowo emigrował. Nie towarzyszyły temu żadne antysemickie szczucia; jedynym czynnikiem była siła wyższa, ewolucja ekonomiczna. Aż naraz wmieszał się surogat siły wyższej, prawo ludzkie, które jeło przeciwdziałać konieczności żywiołowej. Liczba żydów, zmniejszająca się normalnie, poczęła się sztucznie powiększać skutkiem imigracji ze wschodu.

Tylko ignorancja, tudzież ślepa, naiwna polonofobia mogła rozogniona w tych warunkach walkę przepisywać jedynie „nietolerancji“ polskiej.

Dlaczego jednak tej nietolerancji nie widzimy w Galicji? Dlaczego w Poznańskim społeczeństwo polskie walczy z żydostwem tylko jako ze zdeklarowanym, niewątpliwym i zgermanizowanym sojusznikiem najazdu?

Jeśli nawet widzimy obecnie w Królestwie roznamiętnienie antyżydowskie, rasowe, posuwające się aż do niekulturalnych wybryków, to pamiętać trzeba, iż nie są tu bez znaczenia wpływy wschodnie. Należy mieć na uwadze, że tylko w Królestwie, oswojonem z ustawami, traktującemi żydów, jako obywateli najostatniejszego rzędu, możliwe są pewne objawy, nie dające się pomyśleć na innych ziemiach polskich. Ani w Krakowie, ani w Poznaniu, ani we Lwowie — podobnie, jak w Paryżu, Londynie czy Rzymie, nikomu do głowy nie przychodzi, by można było np. ograniczać czyjaś swobodę ruchu ze względu na jego wierzenia religijne, procentować uczniów szkół publicznych, nie dopuszczać do pewnych zawodów etc. W Galicji nie razi nikogo, żyd profesor uniwersytetu, żyd—burmistrz, żyd poseł, prokurator, urzędnik, oficer. A w Królestwie? W Królestwie owszem: tu zapewne niejedno z tego dziś by raziło, choć jeszcze w latach sześćdziesiątych nikogo nie dziwił Hirschfeld na katedrze Szkoły Głównej, ani Kronenberg w rządzie przewodników narodu. Królestwo wogóle na punkcie odczuwania praw człowieka cofnęło się, że tak powiem—zewschodniało. Nietylko na punkcie tolerancji religijnej jest ono mniej europejskie od pozostałych zaborów, którym obecnie masami dostarcza bandytów; ujawnia też znacznie mniejsze wyrobienie polityczne, słabsze uświadomienie społeczne i t. d.

Ale pomimo to, mimo piętna wschodniego, które zdążyły już odbić na niem stosunki polityczne, nawet przepelnienie kraju żydami, przepelnienie utrudniające życie, hamujące normalny rozwój kultury—ostatecznie cóż takiego wywołuje?...

Hasło: „swój do swego“.

Prasa żydowska, za nią zaś rosyjska liberalna (a nawet i niekoniecznie liberalna) alarmuje świat możliwością w Królestwie pogromów. Lecz,

chwala Bogu, dotąd ani jednego pogromu nie było. Można by natomiast przysiąc, że w tych warunkach Rosja rdzenna miałaby już dziesiątki a nawet setki Kiszyniewów.

Gdyby liberałowie rosyjscy o tem pamiętali, możeby się zawahali, czy im wypada dawać polakom lekcje filosemityzmu? Zapewne zrozumieliby, że na innym terenie pracę swą rozpocząć powinni. Owszem, niech uczą tolerancji, niech popularyzują świadomość praw obywatelskich, zasady wolności, równości i... filosemityzmu, ale u siebie w domu.

Dopóki istnieje coś takiego, jak „czerta osiedłości“, Rosja nie ma liberalizmu na eksport; ma go widać bowiem za mało dla siebie samej. I to właśnie jest, niestety, główną przyczyną zaognienia kwestji żydowskiej w Królestwie.

Walka polsko-żydowska jest sprawą domową, o ile rozpatrujemy akcję społeczeństwa polskiego. Do tej wtrącać się nie wolno. Ale fakt, iż walka ta wogóle wybuchła i że przybrała takie, jak obecnie rozmiary—to już sprawa rosyjska, to konsekwencja polityki antysemitycznej, która — mimo wszelkie protesty — w oczach świata obciążać musi sumienie społeczeństwa rosyjskiego.

Niech więc „Russ. Słowo“ nie poucza swych zwolenników, że im nic do kwestji żydowskiej w Polsce. Przeciwnie, winno wytłumaczyć, że jest to bezpośredni skutek ograniczeń prawnych, jakim podlegają żydzi w Rosji, gdzie wciąż jeszcze możliwe są pomysły j. np. zakazania żydom reklamowania się, używania dowolnych imion etc., a gdzie tysiące dziwacznych, średniowiecznych szykan, w szaty ustaw stroją izby prawodawcze; gdzie wreszcie istnieje coś tak niesłychanego w XX wieku, jak „czerta osiedłości“.

Skoro ta ostatnia będzie zniesiona, wówczas dopiero zobaczymy, które społeczeństwo: polskie czy rosyjskie, okaże się bardziej tolerancyjnym.

B. H.

▷○○○○○○○○◁

Spełnili powinność.

W „Tygodniku Polskim“ p. J. Bróg pod tytułem powyższym daje doskonałą odprawę prasie warszawskiej, która w części przez złą wolę, w części przez bezmyślność usiłuje ruch galicyjski przedstawić jako wytwór machinacji rządu austriackiego. Pozwalamy sobie przedrukować artykuł ów w całości, gdyż i na naszym gruncie nie brak zwolenników tego poglądu, gorliwie szerzonego przez koła ugodowe.

„Murzyn spełnił swoją powinność — murzyn może już odejść“ — oto słowa w których większość prasy stołecznej zawarła naukę polityczną, wpływającą z ostatnich wydarzeń galicyjskich.

Miało się na wojnę austriacko-rosyjską. Społeczeństwo polskie okazało gotowość spółdziałania z państwem do którego należy Galicja — władze tego państwa popierały odpowiednie przygotowania.

Obecnie wojna nie grozi w najbliższej przyszłości — władze austriackie zarządziły przywrócenie towarzystwom sirzeleckim ckarakteru sporto-

wego — społeczeństwo zaś przez usta prasy warszawskiej wypowiada poczucie głębokiego zawodu.

Czyż spodziewano się innego epilogu?

Z głosów prasy warszawskiej wynika, że tak: Członkowie drużyn strzeleckich żywili nadzieje złudne, przez owo rozporządzenie rozwiane okrutnie, zaś statystyci warszawscy przewidywali te wypadki niemal co do joty i między innymi dlatego właśnie odradzali młodzieży uczestnictwo w drużynach, gromili starszych za patronowanie im.

Przewidzieli zaś dlatego, że znają naturę polityków wogóle, a austriackich w szczególności: w przededniu wojny ludzą łatwowiernych, szukają sprzymierzeńców, a potem się ich wyprą — gdyby nie to...

Ale przedewszystkiem zapytajmy, jak ci „chytrzy“ politycy, którzy tak paskudnie oszukali łatwowierną polską młodzież, powinni byli postąpić, gdyby mieli choć szczyptę sumienia?

Odpowiedź może być tylko dwojaka: albo, że powinni byli wypowiedzieć wojnę, którą obiecywali, bez względu na okoliczności, albo że powinni byli na czas pokoju utrzymać organizacje ochotnicze.

To są postulaty, które prasa warszawska wmałwia zwolennikom ruchu i w których sama pozwala się domyślać przyczyny abstynencji ludzi z nią zgodnych do podobnych awantur.

Nie chodzi mi oczywiście o to, czy byli w Galicji ludzie, którzy żywili taką czy jakąkolwiek „wiarę“ do władz austriackich, nie chodzi mi o to, czy nadzieje ich były uzasadnione czy naiwne.

Niewątpliwie tam byli politycy zdolni stawiać kwestję tak, jak ją stawia prasa warszawska, a w dodatku niezdolni rozwiązać jej tak przewidująco: skłonny jestem przypuszczać, że propagatorzy ruchu rozsiewali podobne nadzieje, bo wiadomo, że miara obietnic stanowi o sumie zapła.

Chodzi mi jednak o co innego — o to, że z ciężkich doświadczeń doby ostatniej, społeczeństwo nie wyniesie żadnej nauki — i że winien temu będzie skandaliczny poziom umysłowy naszych nauczycieli narodu.

Bo proszę zwrócić uwagę na zagadnienie wyżej sformułowane i proszę spróbować dać na nie odpowiedź wedle wymagań prasy warszawskiej.

Czasy, w których żądaliśmy od „ludów“ wojny o naszą sprawę minęły już dawno — nie sądzę, aby najbardziej niedowarzoną młodzież posadzano u nas o podobne rachuby polityczne. Więc pozostaje odpowiedź druga — żądanie, aby władze państwowe, zarządzając demobilizację wojsk regularnych, pozostawiły na stopie przedwojennej oddziały ochotnicze. Prasa warszawska przewidywała, że nie pozostawia — i przewidywała słusznie — gdybyż była się powstrzymała od komentowania tych faktów i odsłaniania bezmiaru swojej, mądrości politycznej.

W chwili, kiedy się ma na wojnę, każde państwo zarządza mobilizację armji regularnej i patronuje oddziałom ochotniczym. W chwili, kiedy niebezpieczeństwo mija, armji regularnej pozwala iść do domu, a ochotnikom nakazuje to samo. Pierwszym, aby państwo za nich nie płaciło, a społeczeństwo nie ponosiło szkody przez ich przynowanie, drugim, aby również wrócili do zwykłych zajęć, oraz nie tworzyli bez koniecznej potrzeby

siły zbrojnej, nie odpowiadającej wymaganiom ścisłej karności.

Jeżeli w epoce plucia na romantyzm, który jest ozdobą dusz ludzkich i dźwignią postępu, nie chcemy hodować romantycznego wyrodka—oderwanej od realnej rzeczywistości afektacji humanistycznej—to tępić musimy złudzenia, oczekujące innych metod od jakiegokolwiek państwa społecznego.

Ale autorom opowieści o murzynie o co innego może chodziło—o to, że patronat austriacki dla drużyn polskich robił wrażenie czegoś stałego—ludził osiągnięciem jednego z atrybutów państwa własnego.

Oczywiście, że złudzenia podobne byłyby naiwne, a złudzenia naiwne bywają szkodliwe. Ale czy krytyka, z którą się spotkały, wykorzeni je na przyszłość? Nie, ona je utwali, bo wzbudza przekonanie, że w zasadzie to jest możliwe tylko w danym wypadku, z danym rządem należało spodziewać się zdrady.

Doprawdy aż wstyd tłumaczyć w organie nie dwugroszowym, że kwestji polskiej nie podniesie żadne państwo w Europie w czasie pokoju, że natomiast wszystkie tego rodzaju kwestje są podnoszone w czasie zadrażnienia stosunków pomiędzy mocarstwami, o ile jedna ze stron walczących oceni ludność en question jako sprzymierzeńca pożądanego.

Ów słabszy sprzymierzeniec, korzystający z okazji wystąpienia z hamowanymi żądaniami, musi wtedy obliczyć szanse stron i ryzyko walki—nie więcej, a pamiętać winien, że cała ta przyjaźń powstała dla widoków walki i będzie trwała tylko do końca walki—chyba że podczas jej przebiegu kaleka ozdrowieje i takich sił nabierze, że nie jego dla innych, ale innych przyjaźń dla niego warto będzie poświęcić.

Polityka nie zna przymierzy z miłości—tylko przymierze z interesu. Koniec wspólności interesu jest końcem przymierza. Dlatego małżeństwo polityczne nie zna wiarołomstwa, tylko rozwód.

Natomiast zna śluby wiarołomne, podstępstwa. Zdarza się mianowicie, że się tutaj zabawia podżeganiem cudzemu przyjacielowi, obiecując mu pomoc, a mając zamiar wyprzeć się go ewentualnie lub napewno nawet. Bywa to wtedy, kiedy chodzi o osłabienie wrogiej siły, bez zamiaru stoczenia z nim wojny. Zbyteczna dowodzić, że w sprawie, o której mowa, sytuacja ta nie zachodziła.

Natomiast ilekroć będziemy mieli groźbę wojny któregoś z mocarstw rozbiorowych z jakimkolwiek innym mocarstwem, poszukiwanie spółudziału może się powtórzyć, ale skutek nastąpić może tylko w razie istotnego wybuchu wojny i bardzo radykalnych jej rezultatów!

Prasa warszawska zrobiła wszystko, aby te tak jasne rzeczy w umysłach ogółu zaciemnić. Pewna jej część robiła to w dążeniu do swego celu politycznego, ale bezpartyjna reszta, powtarzając bezmyślnie, co jej podsunęto, spełniła powinność—niezaszczytną.

J. Bróg.

▷○○○○○○○○◁

Lord Avebury

(Sir John Lubbock).

Zmarł w Londynie popularny niegdyś i u nas Sir John Lubbock, od r. 1899 lord Avebury. Ciekawy to był człowiek. Pochodził z rodziny bankierów londyńskich, rządzących Lombardstreet'em, rządzących W. Brytanią, rządzących światem za pomocą czeku i kuponu. John Lubbock miał inne jeszcze ambicje. Liczył lat czternaście, gdy ojciec prosto ze szkoły zabrał go do banku, kazał rachować, pisać, wnet posadził go przy księdze głównej i kazał chodzić na giełdę, co nie przeszkadzało Johnowi uczyć się dużo, masę czytać i myśleć. Gdy po śmierci ojca (1865 r.) stanął na czele domu bankowego, był już tak dalece posunięty w czytaniu, w rozmyślaniu, w pisanu, że ogłosił książkę o Czasach przedhistorycznych („Prehistoric Times“), *) a w kilka lat później i o początkach Cywilizacji („Origin of Civilisation and the Primitive condition of Man“). Książki te nazwisko właściciela starożytnego domu bankowego Robarts, Lubbock et Co, czwartego w rodzie baroneta—uczyniły sławnem daleko poza granicami Lombardstreetu—co już znaczy nie mało—co więcej na kontynencie Europy.

W r. 1870 Lubbock wstępuje do Izby Gmin, jako liberalny przedstawiciel Maidstonu, i pozostaje w Izbie Gmin aż do chwili, kiedy łaska królewska mianuje go parem Anglii: odtąd nazywa się lord Avebury. Zajmuje też wybitne stanowisko w samorządzie Londynu, w organizacji bankierów angielskich, którzy w liczbie dwu tysięcy mianują go swoim prezesem. Jako taki wprowadza t. zw. święta bankowe (Bank Holidays—dwa razy do roku w świecie bankowym jako dni odpoczynkowe uważana jest niedziela i następujący po niej poniedziałek, odpoczynek liczy się od południa w sobotę do wtorku rano 68 godzin bez przerwy). Jest też głównym inicjatorem Uniwersytetu Londyńskiego, którego przedstawicielem jest też w Izbie Gmin od r. 1878. Mianują go Członkiem Rady Muzeum Brytańskiego.

Nie tylko człowiek i kultura zajmowały umysł Lubbocka w tych jeszcze młodych latach, ale całą żywą naturę za przykładem Darwina zaczyna obserwować: pszczoły, mrówki, osy—obserwuje je długo, w ciągu miesięcy i lat i obserwacje swoje spisuje. Powstaje z nich cały szereg książek czytanych w Anglii namiętnie w ciągu lat wielu (Książka o Mrówkach i Pszczolach rozeszła się w siedmnastu wydaniach). Tłumaczy je na różne języki świata. Po polsku drukowało je „Ateneum“ w pierwszych rocznikach. Pragnął Lubbock odszukać towarzyskie, społeczne instynkty człowieka na niższych szczeblach kultury, pragnął historję tego instynktu odtworzyć w całym jego rozwoju w naturze żywej; chciał prócz tego odszukać, czy społeczeństwo mrówek nie da wskazówek, które przydać się będą mogły społeczeństwu ludzkiemu. Przyglądając się uważnie—podziwiał jego cierpliwość i przywiązanie do świata ulów i mrowisk akademje świata—życiu owadów, spostrzega symbjozę ciekawą owadów i roślin: powstaje stąd nowy szereg prac o spółżyciu i stosunkach wzajemnych później

*) 1865, 6-e wyd. 1902; „Początki cywilizacji“ ogłoszone 1870 miały również 6 wydań. Obie książki przełożone na różne języki świata, nawet na azjatyckie. Pod koniec życia Lubbock wrócił do socjologii i ogłosił „Marriage, Totemism and Religion“ (1911).

dalszy szereg o roślinach samych, o drzewach i owocach, o krajoobrazie szwajcarskim i angielskim, o piękności natury. *). A w sumie tych obserwacji, przez lat dwadzieścia pięć prowadzonych, powstaje *Filozofja życia* (która zresztą była w założeniu życia, nie tylko w koronie), objęta kilku tomiami *Rozkoszy życia*. „The Use of Life,“ „Pleasures of Life“ wnet przełożone na kilkadziesiąt języków świata uczyniły z Lubbocka najbardziej w ciągu kilku sezonów czytanego pisarza angielskiego. Dość powiedzieć, że te trzy tomy do roku 1912 rozeszły się w 171, 259, 213 tysiącach egzemplarzy oryginału, nie licząc tłumaczeń na języki francuski, niemiecki, także polski. Są to książki bardzo angielskie, urodzone z ducha Smiles'a, utilitarystów, nie znanej jeszcze podówczas, jako taka, ale stosowanej odwiecznie filozofji pragmatycznej.

Polskiego czytelnika nie wzruszały nigdy „Samopomoc“ Smiles'a, ogłaszane drukiem staraniem „Przeгляdu Tygodniowego“. Nie wzruszała go „Etyka“ Spencera. Wzruszała więcej „Autobiografia“ Stuarta Milla, wzruszał Ruskin, Carlyle. Ma to swoje głębokie przyczyny. „Rozkosze życia“ Lubbocka wyrosły z rozkoszy... życia angielskiego, a może i z rozkoszy osobistego życia Lubbocka. Wyrosły może najpewniej z osobistego zdrowia autora—w najogólniejszym znaczeniu tego wyrazu, przedewszystkiem ze zdrowia fizycznego, które pozwoliło życie na tak długiej przestrzeni czasu—w ciągu lat blisko pięćdziesięciu — wypełnić obrzymią i różnorodną pracą: od początku dojrzałości aż po dzień ostatni 79-go roku żywota.

Pisał Lubbock w przeróżnych materjach jeszcze: o sprawach samorządu miejskiego, o wolnym handlu, o pokoju powszechnym, o monecie. Był prezesem kilkadziesięciu towarzystw naukowych angielskich, był jednym z najbardziej znanych w świecie przedstawicieli swojej rasy i narodu. Był zawsze jeden i ten sam, w roku 1865 i 1913: optymistą, liberała, człowieka poczciwego na świat poglądu, uczciwego obyczajem. *Clark'om* swoim w biurze bankowym które, jako syn jedyny odziedziczył, płacił, ale pewnie dużo pracy wymagał, a że to było w Anglii tedy nikogo nie dziwiła ani praca, ani stosunek pracodawcy. Jeżeli pracy żądał dużo — tłumaczył się, że sam nie zmarnował ani jednej godziny w życiu śpiąc, pisząc, jedząc, przyglądając się mrówkom i lodowcom szwajcarskim, także jeziorom szkockim z zegarkiem w ręku. Ina zegarku tym drobnymi djamencikami wyłożone były wyrazy: cnota a pracą. Bezsprzecznie Lubbock był najnotliwszym bankierem Lombardstreetu w Londynie i najpracowitszym clark'iem bankierskim W. Brytanji wraz z kolonjami. Żart na stronę: był to przecież jeden z najpracowitszych i najciekawszych anglików swego czasu.

Polski czytelnik znał Lubbocka z jego prac etnologicznych i socjologicznych. Zabiegliwy „Przeгляд Tygodniowy“, korzystając z pomocy młodych studentów szkoły głównej i powstającego z niej Uniwersytetu Warszawskiego, tłumaczył „Czasy Przedhistoryczne“ i „Początki Cywilizacji“. Dokonywały te książeczki przewrotu w głowach kształconych do tej pory na złych podręcznikach szkolnych i na rozmowach z prefektem szkolnym. Dziś są to książki przestarzałe, dawno o nich nauka mówić przestała. Niema ich też w obiegu księgarskim. Dawno edycje Adama Wislickiego wyczer-

pane zostały. Znajdą się gdzieś po bibliotekach prywatnych dawnych entuzjastycznych czytelników „Przeгляdu“ i pierwszych polskich pozytywistów.

I z tego jeszcze tytułu złożyliśmy dziś na mogile lorda Avebury wianuszek polskich nieśmiertelników.

Stanisław Posner.

▷○○○○○○○○◁

O „zwyrodnienie“ młodzieży.

(List otwarty).

Nic łatwiejszego, jak mając poza sobą szereg dłuższy lat przeżytych, wydawać sądy o przeszłości i teraźniejszości, sądy oparte najczęściej na obserwacji rzeczy i ludzi bliżej owego obserwatora stojących, nie sięgającej wszędy, a tembardziej w głąb areny życia społecznego. Takie sądy słyszemy codziennie, a streszczają się one w wiecznym biadaniu starców nad upadkiem młodzieży, w wychwalaniu czasów przeszłych a potępianiu obecnych i t. p. „Znamy—powiecie czytelnicy—znamy tę piosenkę dobrze!“ Znacnie? A więc posłuchajcie.

Oto w № 106 „Kurjera Litewskiego“, p. Stanisław Montwiłł występując w imieniu wszystkich członków zjazdu koleżeńkiego, odbytego w Wilnie w grudniu r. z., rzuca młodzieży naszej w twarz wprost ciężką obelgę, w następujących słowach: „Rozpamiętywajcie czasy minionie, wszyscyśmy wynieśli przeświadczenie, że dziś pod wieloma względami jest gorzej, niż było wówczas (za czasów młodości p. J. M.) i że to zwyrodnienie zwiększa się crescendo, u młodzieży zwłaszcza brak ideałów zastępują karty, wszelkiego rodzaju hulanki i orgje wyprawiane publicznie i prywatnie, a doprowadzające nieraz do sprzedaży ciężko i uczciwie zapracowanej przez przodków ojcowizny...“

Prawdopodobnie każdy to zrozumie, że napaści tej podległa cała młodzież polska na Litwie, to jest, zarówno ta, która rzeczywiście nie mając i nie rozumiejąc innych celów w życiu nad życie, rzuca swój honor i fortunę w bagno rozpasywania bydlęcego, jak ta, która wśród ciężkich warunków życia, przebojem idzie do światła wiedzy, gromadząc jej zapasy dla szczęścia przyszłych pokoleń, i inna też, która ginie w walce o ideały dobra i sprawiedliwości.

Czy rzeczywiście Sz. Panie taką młodzieży oskarżyłeś o zwyrodnienie? A może, zapominając o tem, że tam, w warstwach społecznych niżej rzekomo stojących od złotych i pozłacanych sfer, jest cały świat inaczej myślący i czujący, wszystkich pod jedną postawiłeś miarę? To byłoby niesprawiedliwe, a takiego sądu, obserwator, mający po za sobą dziesiątki lat przeżytych w społeczeństwie tu-tejszem—wygłaszać nie powinien. Nie chcę być rzecznikiem młodzieży, która zapewne sama za siebie odpowie za tę obelgę, ale, jako obserwujący bieg życia narodowego niemal już od pół wieku, protestuję gorąco przeciw takiemu uogólnianiu. Kilkadziesięciu, ba, kilkuset nawet głupców, trwoniących bezmyślnie pieniądze, nie stanowią jeszcze ogółu młodzieży polskiej!

„Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi?—jak mówi nasz Wieszc. Tam znajdziemy

*) „The Beauties of Nature“ rozeszło się w oryginale w 85 tys. egzemplarzy.

i ten ogień, którego „i sto lat nie wyziębi“ i du-
sze czyste jak kryształ, i serca miłujące dobro,
i ofiarność gotową do poświęceń życia, nawet
i wszystkie te cechy piękna, dobra i prawdziwego
szlachectwa, jakie tylko młodość wyrzeźbia na
charakterze człowieka. Tu szukajmy zaczątków
wszystkiego, co przyszłości będzie wskazywać dro-
gi prawdy, co wykwitnie w bujny kwiat najwyż-
szej kultury. Niema obawy, ażeby ta młodzież
poszła kiedyś za przewodem tamtej, która siejąc
zgniliznę, sama w sobie zarodek śmierci nosi. Ona
pójdzie innemi szlakami, ku górze, do coraz to
wznioślejszych ideałów.

Należy więc, Szanowny Panie, uczynić roz-
dział i mówić: taka, a taka część młodzieży, a nie:
młodzież, bo to godzi w najdroższy skarb narodu,
w to, co stanowi jego kwiat, jego przyszłość. Du-
żo dałoby się w tej kwestji powiedzieć. Ale nie
o to mi na razie idzie. Chcę tylko zaznaczyć swo-
je zapatrywanie na młodzież dzisiejszą, z tego ty-
tułu, że znałem i dawniejszą, więc mogę robić por-
ównania. A z porównań tych, dochodzę do wnio-
sków wręcz przeciwnych, niż sz. projektodawca
sądów honorowych.

Skąpana w krwawych niedolach narodu, wzro-
sła wśród syzyfowej pracy budowania swojej przy-
szłości, młodzież nasza, ta lepsza—rozumie się—
jej część, nie wyda takich mężów, jakich widzie-
liśmy niedawno, a którzy dla błyskotek „honor-
wych“ gotowi byli wyrzec się honoru narodowego
i czołobitnością swoją potwierdzali naszą hańbę.
Nie, mężowie wzrosli z naszej teraźniejszej, tej
lepszej młodzieży, tego nie uczynią, to pewna! Nie
należy więc tak bardzo zachwalać dawnych cza-
sów. Nie ku gorszemu idziemy, lecz ku lepsze-
mu, trzeba tylko chcieć spojrzeć w głąb narodu,
tam gdzie jego serce uderza tętnem prawdziwego
umiłowania dobra, nie gorączką zdziecziałych ba-
chanalji. To różnica ogromna!

Wandalin Szukiewicz.

▷○○○○○○○○◁

Biedne miasto.

(Trochę cyfr ze statystyki Wilna).

Wilno nie posiada jeszcze statystycznego biu-
ra miejskiego, ma jednak jego zaczątki w biurze
szacunkowem, które opracowuje materiały, zebra-
ne przez komisję szacunkową. Komisja ta, prze-
szacowując nieruchomości dla równomiernego opo-
datkowania ich na rzecz miasta, pracowała we-
dług jednego szczegółowo obmyślonego planu
i każdą nieruchomość, własność miejską opisywa-
ła szczegółowo, robiąc pomiary pojedynczych do-
mów i mieszkań. Zebrany w taki sposób mate-
riał statystyczny wszechstronnie oświecla włas-
ność miejską wileńską i daje możność szczegó-
wej charakterystyki jej stanu, podziału i roz-
miarów.

Dane te obejmują 5,653 pojedynczych wła-
sności miejskich, składających się z 10,680 budyn-
ków (domów) mieszkalnych i 6,955 niemieszka-
lnych, stanowiących razem miasto Wilno w grani-
cach oficjalnego (konfirmowanego) planu. Pozatem
istnieją jeszcze przedmieścia dalsze, do miasta nie
włączone, tworzące szeroki pas, okalający Wilno

stłoczoną masą małych, drewnianych, w niepo-
rządku rozrzuconych na szerokiej przestrzeni zie-
mi podmiejskiej, domków.

Domy te do naszych obliczeń nie weszły.

Z pomiędzy tych 5,653 nieruchomości,			
należy do polaków	2,745	czyli 48,6%	og. ilości
„ żydów	1,547	„ 21,4%	„
„ rosjan	751	„ 13,3%	„
„ litwinów	55	„ 1,0%	„
„ innych			
„ narodow.	162	„ 2,9%	„
„ rządu, duch.			
„ i instyt. społ.	393	„ 6,8%	„

Własność polska więc, znacznie przeważa
w ogólnej liczbie własności miejskiej i razem z wła-
snością żydowską obejmuje 76,0% ogólnej liczby
tych posiadłości.

Stosunek ten, jednak, nie utrzymuje się rów-
nomiernie na całej przestrzeni miasta; w rozma-
itych jego częściach zmienia się znacznie, dając
przewagę temu lub innemu żywiołowi. Tak, włas-
ność polska przeważa w cyrkulach III im (55,6%),
V-tym (54,5%), IV-tym (51,3%), VII-ym (50,8%)
i VIII-ym (50,8%), t. j. w miejscowościach od śród-
mieścia oddalonych,—własność żydowska zaś ma
przewagę w śródmieściu, gdzie panuje handel, mia-
nowicie w cyrkule I-ym, gdzie żydzi posiadają
57% ogólnej własności. Największy procent wła-
sności rosyjskiej przypada na cyrkul II-gi (25,5%).

Własność miejska innych narodowości i grup
dzieli się mniej więcej równomiernie pomiędzy
wszystkimi cyrkulami miasta.

Cała nieruchomość miejska przynosi jej wła-
ścicielom 7,420,698 rub. dochodu brutto, z których
na własność polską przypada 2,943,869 rub. czyli
39,4%, na własność żydowską 2,889,556, czyli
38,6%, na własność rosyjską 715,265 rub., czyli
9,6%, na litewską 44,809 rub. albo 0,6% i na
własność innych narodowości i grup reszta
(11,8%).

Porównując podział dochodu pomiędzy wła-
snością polską i żydowską zauważymy, że wzglę-
dnie własność żydowska jest zyskowniejszą.

Zauważyliśmy już, że 5,653 posesje miejskie
obejmują 10,680 domów mieszkalnych i 6,955 bu-
dynek niemieszkalnych, stanowiących składy i t. p.
potrzeby domowe. Z liczby domów, zamieszka-
łych przez ludność miejską, posiadamy budynków

murowanych	3,382	czyli 32,0%
drewnianych	7,053	„ 66,0%
murowano-drewnian.	243	„ 2,0%

Widzimy więc, że Wilno musi być zaliczone
do rzędu miast drewnianych. Musi być ono tak-
że zaliczone do rzędu miast o domach przeważnie
niskich, parterowych, o jednym piętrze według
miejscowej nomenklatury.

Tak, z pomiędzy 10,680 domów liczymy par-
terowych drewnianych 6,928, murowanych 1,326
i mieszanych 194. co stanowi 80,0% ogólnej liczby
domów w mieście. Domy piętrowe, według miej-
scowej nomenklatury 2 piętr., obejmują z pośród
domów murowanych 1,264, drewnianych 125 i mię-
szanych 49. Dwupiętrowych kamienic posia-
damy 688, wreszcie wyższych po nad dwa pię-
tra—104.

Miasto posiada w swoich 10,680 domach 35,742
mieszkania, z pośród których mieszkań 1—2 po-
kójowych liczymy 25,529, albo 71,4%; od 3—5 po-
kójów 8,897 albo 24,9% mieszkań; mieszkań du-
żych o 6-ciu i wyżej pokojach mamy tylko 1,316,
czyli 3,7% ogólnej liczby.

Wilno więc jest miastem także mieszkań małych, zajmowanych przez ludność niezamożną, a zatem i samo musi być zaliczone do miast nie bogatych.

Obok ilości pokoi w mieszkaniach ciekawym jest także przestrzeń zamieszkania. Przestrzeń ta była obliczana dla wszystkich mieszkań w oszacowanych domach i wynosi 651,715.7 sążni kwadratowych.

Z tej liczby na mieszkania przypada 591,042.7 sąż. kw., na magazyny i sklepy 30,659.8 sąż. kw. i na zakłady przemysłowe 30,013.2 sąż. kwadr. Mieszkania, więc, zajmują 90.7% przestrzeni domów, magazyny i sklepy 4.7%, a zakłady przemysłowe 4.6%.

Jeżeli więc zestawie przestrzeń zamieszkałą z ilością ludności, to znajdziemy, że przy ludności 225 do 230 tysięcy, jaką niewątpliwie Wilno posiada, na każdego przeciętnego mieszkańca miasta przypada około 2.5 sążni kwadratowych przestrzeni, na której on mieszka.

Streszczając ten krótki szkic statystyczny, możemy stwierdzić, że Wilno, dążąc, jak wiemy to skądinąd, szybko do rozwoju i uporządkowania zewnętrznego, jest jednak jeszcze miastem drewnianym, miastem o domach parterowych z drobnymi mieszkaniem, ze słabym rozwojem przemysłu, miastem biednym.

K. Niedziałkowski.

▷○○○○○○○○◁

NAD SEKWANA.

(Korespondencja własna „Przegl. Wil.”).

Paryż, w czerwcu 1913.

Wystawa obu salonów oficjalnych—Marsowego i Elizejskiego dobiega końca—ze skruchą przyznając się, iż dotąd o nich nie pisałam. Czyż jedynie moja w tem wina? Sądzę, iż w dużej mierze owych wielkich o europejskiej sławie i rozgłosie salonów. Monotonja i nuda rozsiadły się tu od lat wielu. Sprawozdanie z nich wobec tego—jest swego rodzaju piłą.

Już Karol Baudelaire w swych „Curiosités esthétiques” wypowiada takie zdanie: „Myśli, które poddaje salon ten, są w zasadzie tak stare, znane, tak klasyczne, iż właściwie nie wiele stronic będzie mi potrzebna, by je rozwinąć. Nie dziwicie się, że banalność artysty zapładnia podobnie pisarza”.

To przytoczywszy — jako „excuse” należne odemnie czytelnikom—zabieram się do roli sprawozdawcy.

Dziwne zaiste, jak niektórzy doszedłszy do pewnych wyników pracy—mrą w zastoju.

Widzimy tu rok rocznie artystów, powtarzających się do tego stopnia, zajmujących prawie jedne i te same miejsca sali — iż otrzymujemy wrażenie, jakbyśmy prace ich już widzieli, jak gdyby były one już nie takie same, lecz wprost te same. Stąd właśnie to odczucie monotonji i nudy.

Dlatego też z czystym sumieniem pozwolę sobie pominąć cały szereg rozgłoszonych nazwisk, choćby to był ex-dyrektor Willi Medici—przewielebny Carolus Duran, lub wirtuozi pędzla w rodzaju Boldiniego, Boutet de Monvel, Le Sidaner, Aman-Jean, Roll, Levy Dhurmer, Lucien Simon,

Frieseke, Francis Auburtin, a nawet pełen talentu Jules Flandrin lub Hanicotte.

Są oni tu wszyscy—jako że byli lat poprzednich—kto ciekawy ich koncepcji artystycznych, tego odsyłam do szeregu mych sprawozdań lat ubiegłych, drukowanych w „Przeglądzie Wileńskim”, bądź też „Kurjerze Warszawskim”, „Świecie” etc.

Do „arrivés”, artystów już zdecydowanych należy również Karol Cottet. Niemniej w roku bieżącym dał tak świeżą wizję, tyle szlachetności w oddaniu jej, iż prace jego w ogólnym szablonie stanowią wytechnienie dla oczu. Rysunek tu pełny i silny, barwy szarmonizowane pięknie. Naturalnie musimy uwzględnić to, iż artysta ten należy jeszcze do epoki, wysuwającej na plan pierwszy literaturę przedmiotu — niemniej ten miłośnik „smutnej, szarej Bretanii”—potrafi dać nie tylko fragment ciekawy, lecz i kompozycję zwartą, szlachetną w rysunku. Tym razem dał on „Kobiety z Camaret, lamentujące nad spalonym kościołem”, gdzie zwęglone szczątki kościoła, niebo ciężkie, ołowiane, spelzła. żółkła zieloność trawy—bajecznie się harmonizują z czarnymi, zakapturzonemi postaciami bretonek.

Mamy tu jeszcze trzy fragmenty z procesji, sławnych „pardons” (odpustów) bretońskich — trzy dekoracyjnie oddane gamy tonów: czarne, czerwone i białe; są silne w rysunku i w kolorze wieśniaczki z Plougastel (Bretanja), — wreszcie ciekawie ujęty port maleńkiej osady rybaczej.

Adolf Willette subtelny oddawca sercowych dramatów pierrotek i pierrotów—wystąpił w tym roku z dużą kompozycją, odtwarzającą scenę—un peu perverse, un peu vicieuse—„La valse chaloupée” w Tabarin. Naturalnie, przyciąga on tłumy—w każdym razie musimy przyznać, iż rysunek tu piękny i subtelny, a całość skomponowana wybornie.

La Gandara — sprzykrywszy sobie snąc portrety dam wielkiego świata, sięgnął do nowego źródła twórczości. Dał kompozycję p. t.: „Don Kiszot”. Popularna postać „romanesque et romantique”—wyszła w tej koncepcji dość słabo. W każdym razie artysta ciekawszym jest tutaj niż lat poprzednich.

A rzeźba? Rzeźba ma przedewszystkiem Rodin’a. Wielki tytan Michał Anioł naszej epoki figuruje pośrodku rotundy pałacu. Poszarpany to nerwowo, porwany fantastycznie akt męski. A jednak te fragmenty, te kawałki — to — bajecznie rysujące się masy, traktowane z jednym, właściwym temu artyście poczuciem były, rzucone w przestrzeni, wnikliwie chwytające światła i cienie. Mimo wszystko — w tych fragmentach jest wielka ręka mistrza, zniewalająca swą mocą.

Obok—z bryły marmuru wyłania się głowa—to portret. Ten jest już skończonym, zamkniętym w sobie dziełem. Jest piękny, silny — a jednak tamten akt nerwowo porwany przemawia do widza stokroć potężniej.

Rzeźba salonu marsowego—to właściwie najlepsza rzeźba Paryża. Prócz Rodina i nieobecnego w tym roku Bourdell’a, salon ten posiada takie siły pierwszej wagi jak: Despiau, Jane Poupelet, Cavaillon, Wlerick, Marcel Jacques, Halou, dekoracyjny P. Roche, Dejean, Zenoir.

Wprost przepiękną, traktowaną niesłychanie spokojnie głowę kobiety w bronzie dał Despiau. Niemniej pięknie zbudowana jest jego figura dekoracyjna przeznaczona do ogrodu.

Tak zwaną dawniej „bandę Schnegg’a (Lucjana)—łączą też same „recherches”, poważne tra-

nujący. Kochał bezpamiętnie sztukę i na cześć jej ogłaszał wspaniałe manifesty; walczył o swobodę twórczą artysty i w przerażenie wprawiał wszelkich zjadaczy chleba śmiałością swoich tez. Ile razy jednak tworzył sam, — zapominał, nie chciał wiedzieć, że istnieją na świecie jakieś walki, ideały, bohaterstwa, zagadnienia; opisywał tylko dzieje miłości. Dzieje to były napozór różne, w gruncie rzeczy jednak powtarzały się w nich z przedziwną monotonią te same kombinacje: jedni zabijali przez miłość, inni zabijali samych siebie z miłości, a wszyscy cierpieli, cierpieli bez końca. Autor „Nad morzem“ pozostał wciąż wierny formule, którą wygłosił w samym początku swej pracy twórczej: „Dla artysty — wybrańca miłość — to bolesna, pełna trwogi świadomość nieznanego, strasznej siły, która dwie dusze rzuca na siebie i pragnie je złąć w jedno; to — intensywnie cierpienie, w którym dusza się łamie, bo czynu Nowego Testamentu, czynu tego stopienia się w jedno, czynu absolutnego androginizmu dokonać nie może. Dla takiego artysty miłość, to niesłychana świadomość strasznej jakiejś głębi, przecucie jakiegoś otchłannego dna w duszy, na którym życie tysiąca generacji się przelewa, tysiące wieków ich męk i udręczeń, ich szłał rozrodczy i żądza bytu“. Zarówno w swych powieściach, jak w swych dramatach opiewał Przybyszewski tylko jedną miłość: tę złowrogą, miazdzącą, wolną od wszelkich kompromisów i układów, fatalną, siejącą obficie zbrodnię i śmierć, nie znoszącą żadnego oporu wol ludzkiej.

Dotychczas główni jego bohaterowie, którzy ulegli przemożnej władzy miłości ze wszystkimi jej następstwami, widzieli dla siebie jedną tylko drogę wyzwolenia, a mianowicie: śmierć. W ostatnim swym romansie stawia Przybyszewski nową tezę: miłość może być nie tylko władzą niszczącą, ale może się stać także *wyzwoleniem* dla jednostki, skazanej, zda się, beznadziejnie na zatracenie duszy. Tezę tę autor raczej *stawia* tylko, niż uzasadnia w dostatecznej analizie psychologicznej, która stanowić zapewne będzie część dalszą „Mocnego człowieka“. Tymczasem, w części drugiej stanął Przybyszewski wobec zadania bardzo trudnego: wziął sobie „człowieka mocnego“, Bieleckiego, którego poznaliśmy w pierwszej części opowiadania, jako koncepcję raczej teoretyczną, literacką. Człowiek ten, pierwszy lepszy dziennikarz bez talentu, chce wejść na „bitą drogę“ życia po przez zbrodnię. Wystawił oto, jako swoje, dwa dramaty zmarłego przyjaciela i zyskał olbrzymią sławę. Aby tej sławy nie zamąciło, *usunął* (t. j. utopił w morzu) kobietę, która wie, że nie on, Bielecki, ale jego zmarły przyjaciel, Górski był autorem tych głośnych dramatów. Dla tej sławy również każe Bielecki swej kochance Karskiej podpalić pracownię malarza Borsuka, w której niby to znajdował się jeszcze jeden jego niewydany dramat.

Na tych zbrodniach skończyła się pierwsza część opowiadania. Teraz staje Przybyszewski wobec konsekwencji popełnionych czynów. Twórcą Bielecki stać się nie może, bo — nie ma talentu. Nie pomogą żadne wysiłki. Nie chcąc zboczyć z „bitej drogi“ użycia, Bielecki brnie w coraz potworniejsze zbrodnie: fałszuje weksle z nazwiskiem swej babki, morduje w sposób wyrafinowany tę babkę, „usuwa“ przez pośrednictwo Karskiej niebezpiecznego przyjaciela Kotowicza, który *wiedząc* o Górskim, urządza w teatrze kompromitującą dla rzekomego „mistrza“ manifestację; sprzedaje bo-

gatemu księciu swą najwierniejszą kochankę. We wszystkich tych zbrodniach Bielecki nie jest demonicznym „mocnym człowiekiem“, jakiego chce zbudować autor; to łotr pospolity, nie mający w sobie żadnej głębszej konsystencji duchowej. Zwyczajne straszidło dla ludzi cnotliwych, — figura artystycznie bezcelowa, nie wyrażająca niczego, poza swobodną grą wyobraźni autorskiej. Kradzież twórczości literackiej zmarłego kolegi „mści się“ na nim dość naiwnie: Bielecki dla podtrzymania splendoru swego „stanowiska“ znakomitego autora, staje się podpalaczem, fałszerzem, skrytobójcą. Istnienie — bezsensowne, na polu patologiczne, a w każdym razie dalekie od wszelkiego „demonizmu“. Ten „mocny człowiek“, zaplątany w sieci następstw własnych czynów, dzielący czas na kawiarnię, kochankę i rozmyślania, jak uniknąć katorgi — nie ma w sobie ani żdźbła tej pozerającej siły wewnętrznej, której ulegali niegdyś poczciwi, ale napół obłąkane „Dzieci szatana“.

Przybyszewski powziął dość szczególny zamiar: postanowił oczyścić Bieleckiego, przerobić, przekształcić do gruntu przez miłość. Bielecki zakochał się śmiertelnie w cudnej żonie swego kolegi szkolnego, Ligęzy. Dawniej z takiego wypadku wynikłoby chociaż jedno samobójstwo, a może morderstwo. Teraz bohater znajdzie w tej miłości *wyzwolenie*. Piękna i anielska pani mówi Bieleckiemu: „Spełniałam wobec tego człowieka (męża) do czasu pewne obowiązki, z których się teraz zwolniłam, i o czem on pierwszy wiedzieć będzie: z miłości ku tobie“. I oto Bielecki „był jak oślepiiony, przymknął oczy — nie mógł zrozumieć, co się stało — wiedział tylko, że jest pokonany — wsłuchiwał się z natężeniem w siebie: nie czuł upokorzenia. *Z nieprzezwycięzalnych źródeł w jego duszy poczęła sączyć się wielka powaga, świętość i przerażenie chwili, w której się nowa siła zrodziła*“. Bielecki powie tej kobiecie wszystko, wypowiada się z całego swego życia i ma za to otrzymać „nową siłę“ — przez miłość. A te trupy kolegów, przyjaciół, kochanki? — te stopy zbrodni pospolitych, to wszystko pójdzie w zapomnienie? Nic się nie „zemści“?

Trudno wiedzieć. Przybyszewski jest zbyt wielkim artystą, aby mu wystarczył tak lekko rzucony paradoks. Musimy wierzyć, że ta apoteoza „nowej siły“, rzucona tak pobieżnie, zostanie rozwinięta w następnym tomie powieści. Bez tego owo „wyzwolenie“ musi pozostać bardzo wątpliwe.

Miłość, przetwarzająca do gruntu zbrodniarza (nawet tak przypadkowego i... dziwnego, jak Bielecki) — to pomysł, z którego talent Przybyszewskiego wysnuć może świetne pasmo psychologiczne.

Tymczasem, poza Bieleckim, naogół szkicowanym bez wielkiej troski o duchowną prawdę figury, pełno w „Wyzwoleniu“ świetnie malowanych postaci. Karska, cokolwiek zmałowana w pierwszej części, teraz ma wyrazistą, znakomicie wy-pukloną fizjonomję zbrodniczej kochanki. Ona to właściwie, nie Bielecki, stanowi główną, najlepiej rysowaną postać opowiadania. Z wielkim talentem i niemałą oryginalnością zbudowany też został książę Poraj. Atmosferę kawiarniano artystyczną maluje zawsze Przybyszewski znakomicie. I w „Wyzwoleniu“ większość akcji toczy się w kawiarniach, z tą samą, co dawniej, siłą wizji. Cały, ten świat zresztą nie może się wyrwać z „tańca miłości i śmierci“, ale nie traci nic na swej odrębności, sile swego wyrazu, smutku swego przeznaczenia.

„Wyzwolenie“ nie przynosi może nowych kształtów twórczości Przybyszewskiego, ale jest jakby ogniwem, łączącym jego dotychczasowe na miłość poglądy z wiarą—w miłość, jako moc oddziałującą.

Jan Lorentowicz.

▷○○○○○○○○◁

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Włodzimierz Perzyński. *Łut szczęścia*. (Powieść) str. 166. Warszawa, 1913. Nakład Tow. akc. wydawniczego „Świat”. Skład główny E. Wende.

Pamiętamy ironiczną „Aszantkę“ Perzyńskiego. Pamiętamy jego „Lekkomyślną siostrę“. Pamiętamy „Panią Czajkowską“. We wszystkich tych utworach Perzyński dyskretnie tępił wady ludzkie, nie znęcał się nigdy nad swoim delikwentem. Z tkliwością odślaniał robaczywe nawarstwienia dusz i serc. Nie zawsze może stać go było na szeroki dech, na wyraźny głos. Ale wciąż podkreślał swoją wybitną indywidualność artystyczną.

Ta indywidualność też sprawia, że „Łut szczęścia“ czyta się z niewładnym zainteresowaniem, choć właściwie znamy już tego rodzaju tematy. Perzyński umiał nową krew zastrzyknąć w stary organizm i eksperyment udał mu się wspaniale. Ciągłe czekamy, że Wroński przegra w kasynie swój mająteczek, a tu na złość czytelnikom sprowadza on swoją żonę do Nicei, by i ta wygrała pokąźną sumkę.

Perzyński świetnie zna międzynarodową atmosferę z nad „Riwierą“. Maluje bowiem całe towarzysztwo wyraźnie i charakterystycznie. Szczególnie typ pewnego pana, co to zna tajemnicę rulety i posiada swój własny system gry—jest wspaniałą kompozycją powieści zwięzłą, tęgą. Prześliczne pejzaże tchną aromatami południa.

Kazimierz Wroczyński. *Bengalskie ognie* (noweletty, fraszki) str. 217. Warszawa (bez daty). Nakład i druk Tow. akc. S. Orgelbranda S-ów.

Kazimierz Wroczyński uczył się w „Chimerze“ pijetyzmu dla gładkiego słowa. Od tego jednak czasu, gdy śpiewał swoje „Circenses“, odbył ewolucję w kierunku prozy i dramatu. Wierszy jego zjawia się coraz mniej, ale za to artykułów, fraszek, noweletek coraz więcej. Próbował też szczęścia na scenie, które choć niezupełnie oddało mu się na łaskę i niełaskę, tym nie mniej nęciło publiczność i budziło zaciekawienie.

Tomik, który obecnie mamy przed sobą składa się z noweletek, które były już drukowane po różnych czasopismach. Panuje w nich niewymuszony wesoły humor, praży zawadjacka żółć, trzęsie się rozpięta kamizela śmiechu na opasłym brzuchu w „pomieszkaniu“ Franciszka Salezego Bobaczkiwicza. Wogóle Salezy Bobaczkiwicz należy do najświetniejszych obrazków zbioru Wroczyńskiego. Te imieniny mogą każdego zameczyć śmiechem i rodzajowością kolorytu.

Dobry też jest „Świetny interes“. Satyrka na stosunek literacki, satyrka—która wprawdzie mówi o nieistniejącym jeszcze przedsiębiorstwie zakupna pomysłów powieściowych, dramatycznych, elegijnych, erotycznych, ale zdaje się może, że inwencja Wroczyńskiego może się kiedyś zrealizować, a wtedy „Świetny interes“ stanie się proroczym koszmarem.

Noweletty Wroczyńskiego czyta się łatwo i pozostawiają po sobie dobry humor. Ta ostatnia zaleta sprawi pewno, że prędko doczekają się drugiej edycji, czego im życzyć z całego serca należy.

Zbiór poezji i bajek zmarłej w 15-ej wiosnie życia Zosi Konówny. Wstęp pióra N. Jastrzębskiej, str. 92. Warszawa, 1913. Druk Piotra Laskauera.

Młode to dziewczę, przedwcześnie zmarłe, a przez lata całe trapiące nieuleczalną chorobą, zostawiło po sobie miłe i serdeczne wspomnienie. Dziecinne jej marzenia tchnęły bowiem taką miłością i przywiązaniem do ziemi rodzinnej, że powinny być postawione za wzór dla młodego pokolenia. Któż nie powtórzy za serdeczną nieudolnością młodego łopota słów:

O, polecę ja za morza, polecę za góry,
Tylko pożycz mi swych skrzydeł ptaku srebrno-
pióro,
I popłynę nad tym światem w lazury bez
końca,
By smutnym ludziom przynieść trochę słońca,
I uświetlę czarne pola promieniami jasnemi,
Żeby więcej już nie było łez na polskiej
ziemi.

Nieudolne to, lecz jakże miłe! Nie zapominałmy, że pisała to 15-letnia chora dziewczynka, której pracowitość powinna być czczona.

Eustachy Czekalski.

▷○○○○○○○○◁

PRASA POLSKA.

— Nie mamy szczęścia do humoru wileńskiego „z urzędu“. Ukazujące się od czasu do czasu jednodniówki przerażają swem ubóstwem myślowym i brakiem absolutnym talentu, wydawnictwa perjodyczne upadają wciąż z tegoż samego powodu. Nic dziwnego, skoro urodzeni humoryści są zajęci pisaniem artykułów wstępnych w „Gazecie Codziennej“! Elukubracje te tem komiczniejsze czynią wrażenie, że są utrzymane w tonie poważnym. Oto próbki z artykułu: „Czarne kruki... postępu“, którym redakcja „Gazety Codziennej“ raczyła swych czytelników w ciągu czterech dni.

„Tak zwany „postęp“, którego głównym i jedynym celem podkopać odwieczne fundamenty, na których opierało się życie nasze duchowe, społeczne i rodzinne, cała nasza kultura; wiarę, która nam wypełniała serca i świeciła nakształt gwiazdy przewodniej zastąpić próżnią i ciemnością, moralność—rozpustą, karność—samowolą, poczucie obowiązku — rozkiełzaniem, uświęcony wiekami porządek—bezładem... postęp ten poczyna swe zatrute rodzic owoc, a przed jego pochodem potępieniczym nakształt złowieszczych kruków czarnych [unoszą się: rozpusta i zbrodnia“.

Brz..., cóż za ponury obraz! A wszystko to z powodu „indywidualnego traktowania dzieci“ oraz rozpanoszenia się nowoczesnej „przemądrej“ pedagogji, która odrzuca starą wypróbowaną metodę ślepego posłuszeństwa i ulegania bezwarunkowego woli rodziców i wychowawców.

„...dziecko winno słuchać nie dlatego, że dany rozkaz przypada do jego przekonania lub nie przypada, podobnie lub nie—lecz dlatego, że rozkaz ten pochodzi od rodziców, którzy władzę swą posiadają od Boga.

Takie i jedynie takie posłuszeństwo wybawi dzieci od wszelkich czyhających na nie niebezpieczeństw. To też zmusić dzieci do takiego ślepego posłuszeństwa jest obowiązkiem wszystkich rodziców, a winni są ro-

dzie przed Bogiem i przed społeczeństwem skłonić dzieci swe do takiego posłuszeństwa wszelkimi środkami, począwszy od słowa napomnienia... kończąc — w razie potrzeby—na owym niezawodnym eliksirze, o którym czytaliśmy w starych elementarzach:

„Różeczką duch Święty dziateczki bić radzi,
Różeczka bynajmniej zdrowiu nie zawadzi“.

Na tem jednak nie koniec. Pozostaje jeszcze szkoła, której przełożeni władzę swą posiadają również od Boga. Oczywiście, o ile szkoła nie jest bezwyznaniową. W państwie Rosyjskiem szkół bezwyznaniowych wprawdzie niema, bowiem wykład religii wszędzie jest obowiązujący, ale reszta przedmiotów wykładana jest przez osoby świeckie, a taka zaś nauka—nic nie jest warta.

„Wychodząc z zasady, że Bóg jest początkiem wszystkiego i jest wszędzie i we wszystkim, widzimy, że religja nie jest nauką niejako od innych odciętą, że przeciwnie matematyka, geografja, przyroda i t. p. niemniej powinny głosić wszechmądrość i potęgę Stwórcy i tylko w ten sposób wykładane, wywrą wpływ pożądany na serce i umysł dziecka. Atoli tak ująć przedmiot i tak go przedstawić młodocianym słuchaczom może tylko albo kapłan, albo też nauczyciel świecki, posiadający gruntowne wykształcenie religijne i sam głęboko religijny, i oczywiście tego samego co uczniowie wyznania“.

Słowem wszystko byłoby dobrze, gdyby przywrócono szkoły klasztorne z XVII wieku! O język wykładowy mniejsza; może pozostać urzędowy, byle się nim posługiwała osoba w sutanie...

O, „Gazeto Codzienna“!

— Czytamy w ostatnim numerze „Prawdy“:

„Dawno już arystokracja nasza nie występowała czynnie na widowni życia politycznego; zasklepiąca w *spendid isolation* od reszty społeczeństwa, niekiedy tylko zwracając na siebie uwagę wystąpieniami, które poszczególnym świetnym nazwiskom wątpliwych przysparzały laurów. Poniński, Potocki, Radziwiłł, Korwin Miłowski, Przeździecki, Kwilecki, Ronikier i Bisping — oto kilka nazwisk, wplątanych ostatnimi czasy do spraw kryminalnych lub skandalicznych. Na szerszej widowni życia zdobyli się nasi magnaci bodaj po raz ostatni na czyn zbiorowy w r. 1902-im, kiedy bawiąc w Cannes grono arystokracji warszawskiej wystosowało protest przeciw gotującemu się właśnie we Francji rozdziałowi Kościoła od Państwa.

Od tej wiekopomnej chwili nie zaszło nic takiego w kraju naszym i poza krajem, coby mogło wytrącić z błogiego kwietyzmu nasze *upper ten*. Dopiero zatarg bułgarsko-serbski przełamał ich obojętność i natchnął rozszerebotane salony inicjatywą dyplomatyczną w formie odezwy do kół kierowniczych Serbji i Bułgarji, oraz do prasy tamtejszej. Odezwa ta, ogłoszona w niektórych pismach francuskich, wzywa ludy bałkańskie do zgody, przestrzega przed zaciętrzewieniem waśni bratobójczej i kończy tymi słowy:

„Jedność wasza tworzy siłę waszą i naszą. (?) Europa na was patrzy. Zmuscie ją, aby tak was podziwiała w czasie pokoju, jak podziwiała w czasie wojny“.

Tu następuje szereg podpisów osób, należących do kół arystokratycznych warszawskich i gorąco, jak widać, biorących sobie do serca sprawę jedności i zgody... na Bałkanach.

Niema zresztą nic w tym akcie zdrożnego, owszem, świadczy on, że nawet w pomienionych kołach są ludzie, żywo reagujący na społeczne wypadki i zagadnienia; osobliwością jednak, rzecz można: potwornością tego kroku jest to właśnie, że pomija tu, w Polsce, szereg spraw, stokroć nas bliżej obchodzących, by nieść aż na Bałkany światło wskazówki i rady zbawienne.

— Europa na was patrzy!—wołają hrabiowie warszawscy do koniuchów bułgarskich i szwinopasów serbskich: rozrzewniająca isticie komitywa! Skoro jednak tuż pod bokiem, bo w Galicji, wre walka zjadła, ku radości naszych wrogów, między kliką magnatów podolskich, spokrewnionych z warszawską „elitą“ towarzyską—a mrowiem demokracji rusińskiej, haniebnie krzywdzonej w obecnej ordynacji wyborczej—wówczas zapominają umitrowani krzewiciele zgody na Bałkanach, że

i na spór polsko-rusiński Europa nie tylko patrzy, ale go „głośno już komentuje, na naszą niekorzyść“...

Inne pisma nie szczędzą słów jeszcze bardziej ostrych. „Goniec“ bez ogródek nazywa enuncjację słowianofilów arystokratycznych „wybrykiem Filipów z konopi“.

▷○○○○○○○○◁

NA WIDNOKRĘGU.

Od ośmu przeszło miesięcy w burzliwych dziejach półwyspu Bałkańskiego nie było może chwili tak krytycznej, tak przełomowej, jak chwila obecna. Sprzymierzeni pogromcy Turcji stanęli w pozycji bojowej i lada dzień mógł przynieść postanowienia nieodwołalne i fakty rozstrzygające.

O naprężeniu sytuacji świadczy najlepiej zarówno treść jak i ton telegramu Cesarza Rosyjskiego do królów Serbji i Bułgarji. Ten akt wielkiej wagi, który, zdaniem najpoważniejszych organów prasy europejskiej, wywrze na nastrój obu krajów wpływ rozstrzygający, stwierdza ostatecznie pewne fakty, co do których istniały tylko domysły i sprzeczne pogłoski.

Okazuje się, że układ, zawarty pomiędzy Bułgarją a Serbją przyjmuje rolę zwierzchniczą Rosji w zakresie znacznie szerszym, niż mniemano dotąd. Nie jakaś specjalnie określona sprawa, lecz „wszelkiego rodzaju spór, dotyczący stosowania ustaw tego traktatu i związanych z nią umów“ ma podlegać wyrokowi rozjemczemu Rosji. Znika również wszelka wątpliwość co do charakteru zobowiązań Serbji i Bułgarji. Okazuje się, że oba kraje zaciągnęły te zobowiązania, nie tylko nawzajem do siebie, lecz także w stosunku do Rosji, która nie zostaje w danym razie zaproszona na superarbitra, lecz z mocy traktatu otrzymuje prawo wydawania wyroków rozjemczych.

Polityka Sazonowa nie cieszyła się uznaniem w opinii rosyjskiej, szczególnie zaś w kołach nacjonalistycznych. Zarzucano jej bierność, brak aktywności i energii, jak również zbyt pojednawczy ton w różnych sprawach europejskich i azjatyckich. Zarzucano jej jeszcze odgrodenie się od opinii publicznej i zbyteczne uprzedzanie tajemnic kancelaryjnych, po za któremi, zdaniem krytyków, nie ukrywały się bynajmniej żadne dodatnie nie spodzianki.

W świetle ostatnich doświadczeń polityka ta okazuje się o wiele czynniejsza i sprawniejsza, niż się mogło wydawać w ostatnich latach. Polityka ta doprowadziła do utworzenia koalicji na Bałkanach, a Serbję i Bułgarję związała traktatem, który ma pewne cechy protektoratu rosyjskiego. Wprawdzie nie wszystko w owym związku Bałkańskim poszło tak, jak układali sobie jego inspiratorzy, niemniej wszakże związek w roli koalicji antytureckiej doszedł do skutku, a dyplomacja i opinja rosyjska otwarcie głosi konieczność utrzymania nadal tej kombinacji i skierowania jej ku znanym celom panslawistycznym.

Podpisanie traktatu serbsko-bułgarskiego nastąpiło w lutym r. z. W tym czasie zmarł zwycięzca w zatargu aneksyjnym hr. Aehrenthal i następcą jego został obecny kierownik polityki zagranicznej monarchji Habsburskiej hr. Berchtold. Zaraz po nominacji otrzymał on od ministrów Sazonowa i Kokowcewa uprzejmy telegram, wyraża-

jący nadzieję dobrych stosunków pomiędzy obu państwami. Prasa nacjonalistyczna z „Nowoje Wremia“ na czele zarzucała z tego powodu ministrom, że uchybili godności swej, witając w ten sposób następcę i współpracownika notorycznego przeciwnika Rosji.

Wszakże w tym samym czasie, kiedy hr. Berchtold odbierał optymistyczne wrażenia z telegramu ministrów petersburskich, z materiałów wybuchowych nagromadzonych w podziemiach półwyspu Bałkańskiego, sprawne ręce tworzyły groźną minę, która miała w niwecz obrócić troskliwie strzeżony gmach status quo. A z po za gruzów państwa otomańskiego ukazały się nagle traktaty, ułożone w duchu zasady panslawistycznej, które obecnie interwencji rosyjskiej nadają wielką doniosłość i szczególne znaczenie uznanego zwierzchnictwa moralno-politycznego. Polityka Aerenhala i Berchtolda przeoczyła całą tę ukrytą robotę, której skutki ukazały się nagle na jesieni r. z. I wtedy jeszcze Wiedeń nie zrozumiał prawdziwego sensu magicznej formuły o status quo, która po pierwszych tryumfach związkowców zmieniała się w formułę nieinterwencji po to, ażeby dzisiaj przybrać zgoła odmienną postać.

Obecnie związek bałkański przechodzi chwilę krytyczną. Nie zapobiegła jego utworzeniu i działalności polityka wiedeńska i nie ona zapewne zdoła go rozbić lub skierować na inne tory. Może to wszakże nastąpić w skutek wewnętrznych czynników, które związek rozsadzają, wskutek zasadniczych antagonizmów, ożywionych jeszcze przez wzmoczenie uczucia narodowego po zwycięskiej wojnie. Należy przypuszczać że Serbja i Bułgarja zgodzą się na rozjemczy sąd Rosji. Usuwa to wprawdzie obawę natychmiastowej wojny, ale nie rozstrzyga jeszcze kwestji dalszego stosunku pomiędzy obu państwami, od tego zaś, jak on się ułoży, zależy możliwość wznówienia koalicji bałkańskiej i związanych z nią kombinacji. Zawikłania bałkańskie pozostały nawet po upadku Turcji.

□□□□□□□□□□

Pragnienia słowian południowych.

Korespondent wiedeński „Dnia“ podaje nader ciekawe informacje o zapatrywaniach słowian austrjackich na zatarg serbsko-bułgarski. Jak się okazuje, politycy chorwaccy nie mają nic przeciwko temu, by Serbja weszła w skład monarchji austro-węgierskiej. Oto, co pisze ów korespondent p. A., znany zresztą jako przeciwnik orjentacji austrjackiej.

„Przyznaję się otwarcie do błędu. Do tej pory przypuszczałem, że słowieńcy i chorwaci w Austro-Węgrzech sympatyzują nie z bułgarami, lecz z serbami w sprawie przyszłego rozgraniczenia między Serbją a Bułgarją. Przypuszczałem, że słowieńcy i chorwaci są oburzeni na bułgarów i niczego innego więcej nie pragną, aniżeli przyznania królestwu serbskiemu jak największego obszaru terytorjalnego.

Tymczasem wczoraj, na podstawie rozmowy, którą miałem z jednym z najznakomitszych posłów południowo-słowiańskich w parlamencie austrjackim, przekonałem się, że jestem w błędzie

Gdy zapytałem się owego posła o jego pogląd

na spór serbsko-bułgarski, zapytał mię w ten sposób:

— Czy pan chce słyszeć moje zdanie prywatne, czy też pan chce ogłosić wywiad dziennikarski?

— Chodzi mi o wywiad dziennikarski z pańskim nazwiskiem.

— W takim razie muszę panu powiedzieć nasze zapatrywanie oficjalne. Pragniemy, ażeby pomiędzy Serbją a Bułgarją do wojny nie przyszło i spodziewamy się, że do owej wojny nie przyjdzie. Na kompromisie między Serbją a Bułgarją cała Słowiańszczyzna południowa wyjdzie jak najlepiej. Serbja będzie dosyć silną, ażeby rozrastać się kulturalnie. Jej rozrost kulturalny oddziała dodatnio na całą Słowiańszczyznę południową, a więc także i na nasze stanowisko w Austro-Węgrzech.

— Czy to wszystko?—spytałem.

— Jeżeli pan chce wywiadu z mojem nazwiskiem, to wszystko, co mogłem powiedzieć. Jeżeli jednak pan się chce dowiedzieć o naszym prawdziwym poglądzie na spór serbsko-bułgarski, w takim razie powiem panu prawdę, to jest poinformuję pana o prawdziwych zapatrywaniach całego świata słowiańskiego i chorwackiego na spór serbsko-bułgarski, ale proszę pana nie ogłaszać mojego nazwiska z powodów, które pan bardzo dobrze rozumie.

— Zastosuję się w takim razie—odpowiedziałem—do woli szanownego posła i nazwisko jego przemilczę.

— Dobrze. W takim razie służę panu szczerą prawdą. Jesteśmy wprost oburzeni na serbów, że chcą zabrać terytorjum macedońskie, będące pod względem etnograficznym wyłącznie ziemiami bułgarskimi, a wzamian za to dopuszczają się istnej zbrodni na Słowiańszczyźnie, ponieważ za pomoc, którą niesie Serbji Grecja, są gotowi oddać w ręce największego wroga Słowiańszczyzny południowej, a więc w ręce greków tak prastare miasto słowiańskie, jakim jest Soluń, czyli Saloniki.

— Pierwszy raz słyszę—zauważyłem—że Saloniki są miastem słowiańskim. Do tej pory sądziłem, że jest to miasto greckie.

— Ma pan zupełnie mylne wyobrażenie o Salonikach, wszakże z Solunia pochodzą ci dwaj apostołowie bułgarscy, którzy całą Słowiańszczyznę zachodniej przynieśli wiarę chrześcijańską. Są to święty Cyryl i Metody. Byli to przecież bułgarzy z Solunia. Wyszli też oni z Solunia na zachód, by krzewić chrześcijaństwo między słowianami. Soluń był i jest miastem bułgarskim, a raczej słowiańskim. Każde dziecko siedmioletnie u słoweńców i chorwatów uważa Soluń jako świętość narodową, której niepodobna wydać w ręce greków. To też układ rządu serbskiego z Grecją, układ, wydający Soluń w ręce greków, wzamian za pomoc Grecji przeciwko bułgarom, wystarczy już, by wśród wszystkich słowian południowych wywołać niesłychane oburzenie na Serbję.

— W takim razie życzenie panowie zwycięstwa bułgarom?—spytałem.

— Nie ulega wątpliwości—odparł mój informator—że odebranie przez bułgarów Solunia napęłniłoby nas wielką radością. Nie należy jednak zapominać, że uśmiecha się nam jeszcze inna ewentualność. Jeżeli mówię „nam“, w takim razie mam na myśli owych słowian południowych austrjackich, którzy pragnęliby zjednoczenia wszystkich słowian południowych pod egidą monarchji Habsburskiej, ażeby w ten sposób raz na zawsze złamać prze-

wagę madzjaryzmu. Nie jest wykluczonem, że na wypadek wojny pomiędzy Serbją i Bułgarią, może przyjść do dalszych zakłóceń, skutkiem których Austro-Węgry zajęłyby sandżak nowobazarski oraz część znaczną Serbji. Skutkiem takiego zaboru wszyscy serbowie znaleźliby się pod berłem Habsburgów. A wtedy urzeczywistniłby się nasz ideał, to jest federalizacja całej monarchji Habsburskiej.

— Niech pan nie używa—proszę pana o to i proszę całej prasy polskiej—wyrazu „tryalizmu“. My żadnego „tryalizmu“ nie chcemy. Ten termin polityczny wynaleźli Niemcy, ażeby odstraszyć od popierania sprawy bałkańskiej słowian, Czechów i Was, Polaków. My, Słowianie, dążymy do federalizmu, to jest do oparcia budowy państwa na zasadzie grup narodowych. Zdaje mi się, że jest to zasada słuszna. I gdyby monarchja Habsburska obsadziła ziemie serbskie, które teraz tworzą królestwo serbskie, wówczas musiałoby odrazu przyjść do federalizmu. A więc nie tylko z powodu Solunia, jako miejsca wręcz świętego pod względem narodowym, lecz także i gwoździ przyspieszenia federalizacji monarchji Habsburskiej życzymy, gdyby miało przyjść do wojny, zwycięstwa orężowi bułgarskiemu“.

Na tem skończyła się interesująca rozmowa.

▷○○○○○○○○◁

KRONIKA.

== Duma i ministrowie.

Wszystkie pisma rosyjskie zajmują się gorąco ostatnim zatargiem Dumy z ministrami; powstał on w związku z zakończeniem mowy prawnicowca Markowa II-go i frazesem „Nie wolno kraść“, zwróconym do loży ministrów. Ministrowie demonstracyjnie opuścili swe miejsca, przewodniczący ks. Wołkonskij, przywołał mówcę do porządku. Ministrowie nie zadowolili się tym, uważając, że reagować powinna była cała Duma państwowa, a nie jeden tylko przewodniczący.

Na odbytem posiedzeniu rady ministrów uznano, że słowa Markowa odnoszą się w jednakowym stopniu do wszystkich ministrów. Ponieważ Duma nie reagowała na odezwanie się Markowa, przeto—rada ministrów uchwaliła, aby ministrowie i naczelnicy poszczególnych zarządów nie przychodzili weale do Dumy.

„Riecz“—wbew zaprzeczeniu innych pism—dowiaduje się, że na posiedzeniu rady ministrów, d. 31 maja minister Makłakow wystąpił z mową o konieczności rozwiązania Dumy państwowej, ponieważ Duma, wskutek braku większości z którą mógłby pracować rząd, nie daje możności przeprowadzenia pewnych reform. Makłakow zapewniał przytem, że piąta Duma państwowa będzie bardziej prawnicowa.

Większość ministrów uznała, że rozwiązanie Dumy w chwili obecnej, kiedy powstał zatarg na tle osobistym—nie jest wskazane.

Zarówno partje parlamentarne, jak i pisma potępiają odezwanie się Markowa, przypominając, że właśnie ministerjum skarbu cieszy się najlepszą opinią.

== Sprawa Akademji wojskowo-lekarskiej w Senacie.

Dn. 5 b. m. „Riecz“ donosiła, iż Senat wypowiedział się się przeciw opublikowaniu nowej ustawy Akademji wojskowo-lekarskiej, jako przeprowadzonej w nieodpowiednim porządku.

Zdaniem Senatu ustawa winna była być przeprowadzona w ogólnej drodze prawodawczej.

Za nielegalne uważa również Senat wprowadzenie w życie ustawy przed opublikowaniem jej.

Rada Ministrów, wbrew opinji ministra wojny. Suchomlinowa, podzieliła opinję Senatu.

Wskutek tego p. Suchomlinow wycofał nową ustawę z Senatu i podobno proponuje przeprowadzenie jej w drodze art. 87 — w nadziei, iż Duma nie zechce odrzucać już działającej ustawy.

== Prasa wileńska. Według oficjalnych wiadomości komitetu do spraw prasowych, w r. 1912 w gub. wileńskiej wychodziło: pism polskich—25, rosyjskich—26, litewskich—10, żydowskich—5 i białoruskich—2. Razem—67.

== Zamknięcie Tow. Kultury polskiej.

Warsz. komisja gubernalna do spraw stowarzyszeń i związków rozważała sprawę. Towarzystwa „Kultury polskiej“, którego działalność, jak wiadomo, przed kilku miesiącami uległa zawieszeniu.

Komisja uchwaliła Towarzystwo Kultury polskiej zamknąć.

== Zawieszenie miesięcznika litewskiego.

Wydawany od r. 1911 miesięcznik litewski „Pasinutynys“, przeznaczony dla litwinów wyznania ewang.-reformowanego, przestał wychodzić, ponieważ gubernator kowieński zabronił wydawać i redagować go w Radziwiliszkach.

== Uwięzienie wybitnego rewolucjonisty. Na statku „Mikołaj II“ przywieziony został z Aleksandrji do Odessy głośny wśród marynarzy działacz rewolucyjny Adamowicz, znany w kołach partyjnych pod przezwiskiem „Karol“. Przed kilku laty uciekł Adamowicz z Odessy zagranicę. W ostatnich czasach zamieszkał w Aleksandrji, gdzie zaczął wydawać w języku rosyjskim czasopismo p. t. „Moriak“, bardzo rozpowszechnione na statkach rosyjskich. Adamowicz prowadził również propagandę rewolucyjną wśród załóg przybywających do Aleksandrji okrętów rosyjskich. Po długich pertraktacjach rząd egipski zgodził się wydać Adamowicza władzom rosyjskim. Przy uwięzieniu Adamowicza część mieszkańców Aleksandrji stawiała zacięty opór, a marynarze statków zagranicznych chcieli siłą udaremnić wsadzenie Adamowicza na okręt „Mikołaj II“. Z Odessy do Aleksandrji rząd rosyjski dla ujęcia Adamowicza wysłał bardzo silny kordon policji i agentów „ochrony“ pod dowództwem naczelnika policji odeskiej. W czasie podróży zarządzono wyjątkowe środki ostrożności.

Adamowicz oskarżony jest o przestępstwa polityczne i organizację zamachów terrorystycznych na niektóre wojenne statki rosyjskie.

== Poczłtówki z widokami Połagi.

Polskie Tow. krajoznawcze w Warszawie wydało nową serję pocztówek z widokami Połagi. Serja składa się z 12-tu kartek następujących: 1) Sosny nadbrzeżne. 2) Zatoka pod Holenderską Czapką. 3) Sosny na Czapce Holenderskiej. 4) Fala przy brzegu. 5) Nadciągająca burza. 6) Wieczór na pomoście. 7) Wydmy nadbrzeżne, opanowywane przez roślinność. 8) Grota Matki Boskiej z Lourdes w Górze Biruty. 9) Kaplica na Górze Biruty. 10) Łazienki. 11) Dom zakładowy. 12) Pałac F. hr. Tyszkiewicza.

Poczłtówki odbite zostały bardzo starannie w zakładzie Wierzbickiego i mają napisy w językach polskim i litewskim.

Treść numeru.

Wpływy postronne.

Rosjanie—a sprawa polsko-żydowska.—B. H.

Spełnili powinność — J. Bróg.

Lord Avebury. — St. Posner.

O „zwyrodnienie młodzieży“.—W. Szukiewicz.

Biedne miasto. — K. Niedziałkowski.

Nad Sekwaną. — W. Kiślańska.

Mewa. — W. Niedziałkowska.

Wątpliwe wyzwolenie. — J. Lorentowicz.

Przełąd piśmienniczy. — E. Czekalski.

Prasa polska.

Na Widnokręgu.

Kronika.

Odcinek: „Rasa“. — Z. Kleszczyński.

KAŻDY MOŻE NABYĆ DZIAŁKI Z I E M I

w najlepszej miejsc. m. Wilna „Zwierzyniec“ Miejscowość ładna i zdrowa, las sosnowy, Wilja.

==== Ceny niskie. :—: Warunki dogodne. :—: Prolongata wypłaty.====

Wyjątkowo wygodne i tanie działki nad rzeką. Rozmiary działek według życzenia nabywców.

Zwracać się do Biura pośredniczącego w sprzedaży działków:—WILNO, Zwierzyniec,
ul. Giedyminowska 32 (róg Sosnowej) telefon № 46.

Przegląd Polsko-Esperancki

POLA-ESPERANTA REVUO

CZASOPISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE, naukowe, społeczne, polityczne, inormacyjne,
— humorystyczne — z dodatkiem podręcznika Języka Esperanto w 34 lekcjach. —

Zacznie wychodzić od 1-go Lipca 1913 roku.

PRENUMERATA ROCZNIE; 4 Sm., 2 Dol., 4 Rb., 10 K., 8 Mk.

Którzy zaprenumerują przed 15 Czerwca 1913 r. zapłacą tylko połowę ceny prenumeracyjnej.

Adres Redakcji i Administracji:

1041 Milwaukee Avenue Chicago, Ill., U. S. A.

PRZEPISYWANIE na maszynie

W językach rosyjskim, polskim, fran-
cuskim i niemieckim.

Na żądanie korekta.

Wykonanie sumienne, dokładne i po
cenie umiarkowanej.

Zaulek Górzysty № 1.

SPÓŁKA WYDAWNICZA

„KSIĄŻKA“

poleca

Wilhelma Feldmana

„Stronictwa i programy polityczne
w Galicji“

2 T O M Y.

CENA 10 KOR.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.